Nr. 90. Kraków, wtorek, 21. kwietnia 1903. Rok II.

# KURYER KRAKOWSKI


**Przedplata wynosi:**
w Krakowie miesięcznie 1 kor. 20 hal.
kwartalnie 3 „ 60 „
na prowincyi miesięcznie 1 „ 70 „
kwartalnie 5 „ — „

ilustrowane pismo codzienne dla wszystkich.

**Numer pojedyńczy 3 ct.**
Ogłoszenia: pierwszy raz 15 halerzy za wiersz petitowy; każdy następny raz po 10 halerzy.

**„Kuryer“ wychodzi codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt uroczystych o godzinie 12 w południe.**

Adres Wydawnictwa:
Kraków, ul. Karmelicka l. 7. — Nr. Telefonu 494.

Redaktor:
KAZIMIERZ BARTOSZEWICZ.


**Ofiara golibrody.**



(Opis wewnątrz numeru str. 6)

# W górach.

Jest już niby wiosna, niedługo zatem rozwinie się też sport górski, często rozumny i zdrowy, często też bezcelowy i szkodliwy, powodujący liczne ofiary w życiu. Dla zwolenników tego rozumnego sportu, który wyrabia zręczność, siły, zimną krew i znakomicie przyczynia się do zdrowia, nie będzie obojętnem dowiedzieć się o pojawieniu się wybornej książki angielskiej turystki p. Aubrey Le Bloud, barwnie napisanej, w której powaga sytuacyi miesza się w opowiadaniu z wesołymi epizodami. Oto jeden z nich:

Z początku — opowiada turystka — odbywałam wycieczki w ubraniu kobiecem. Otóż raz tak mi zaciężyło, skutkiem śniegu, okrycie, że ułożyłam je pod ciężkim kamieniem, aby zabrać potem z powrotem. Niestety, okrycie nie chciało na mnie czekać i powędrowało samo wcześniej odemnie w dolinę. Gruchnęła nawet z tego powodu wieść, żem zginęła pod lawiną, która kamień sprowadziła na dół, ja jednak ocalałam, ale musiałam odbywać podróż dalszą w stroju do figury.

Zabawną jest opowieść o pewnym angliku, który chciał uprawiać wdzieranie się na góry naukowo. „Mój przyjaciel — powiada turystka — był wielkim pedantem. Chciał stosować na każdym kroku wskazówki swego „Przewodnika dla turystów“, zamiast naśladować niewolniczo własnego żywego przewodnika. Pewnego razu schodziliśmy po silnej pochyłości pod kierunkiem przewodnika Imbodena. Byłam na czele sznura na pewnej odległości od swego towarzysza, a o kilka kroków podemną zaczynała się wygodna droga. Zawołałam zatem:

— Proszę zwolnić sznur!

Mój towarzysz wahał się i rzekł wreszcie:

— Nie wiem, czy mogę to uczynić, gdyż w moim „Badminton“ na stronicy takiej a takiej, wiersz taki a taki powiedziano....

— Proszę zwolnić sznur! — zawołał przez ten czas przewodnik z góry.

— Otóż powiedziano tam — ciągnął niewzruszony turysta — że gdy wytworzy się podobna sytuacya...

— Czy pan pofolgujesz sznura, czy też mam zejść? — wołał zniecierpliwiony Imboden.

Wreszcie po krótkiej jeszcze utarczce słownej, turysta ustąpił.

Ciekawem jest opowiadanie o niezwykłej sile przewodnika Lauenera. Pewnego razu znajdował się on na wielkiej pochyłości z turystą, który posuwał się przed nim na dół.

Pod nogami obydwóch otwierała się przepaść. Lauener związany był z turystą sznurem, jak zwykle i szedł ostożnie za nim. Podczas tej podróży przewodnik wstąpił na kamień, który wydawał się być występem skały. Nagle, ku swojemu przerażeniu przewodnik spostrzegł, iż kamień posuwa się i pada w kierunku turysty, którego może zgnieść i zgruchotać w jednej chwili.

Wtedy, ustawiwszy się silnie na nogach, nadludzkim wysiłkiem szarpnął sznurem w ten sposób, że turysta zerwany został z miejsca i literalnie zawisł na chwilę nad przepaścią, podczas gdy kamień z łoskotem przez to miejsce przebiegł i zginął w przepaści. Turysta został uratowany.

Nie wszyscy jednak przewodnicy bywają równie przytomni i zręczni. Inny przewodnik sam wpadł w szczelinę i został z niej dopiero wydobyty przez turystę. Niestety, w tej przygodzie postradał kapelusz, co było dla niego ciężką stratą, albowiem za podszewką przechowywał w nim nie tylko papiery familijne, ale i świadectwo swoje na przewodnika. Biedak naprzeklinał się strasznie w górach, a jeszcze więcej najadł wstydu za powrotem bez kapelusza i z zachwianą reputacyą przewodnika.

## O korespondencye z Ostrawy.

Odbieramy list następujący:

Jakiś [niepowołany] opiekun naszego Towarzystwa a zarazem korespondent-amator nadużył zaufania Sz. Redakcyi i w Nr. 86 „Kuryera“ umieścił korespondencyę „Z Ostrawy“ pełną tendencyjnych fałszów i kłamstw, mających chyba na celu poniżanie w opinii kraju działalności jednego z najszlachetniejszych oświatowych stowarzyszeń polskich.

Mamy tu na myśli koło ostrawskie Tow. „Szkoły ludowej“. Praca w niem żmudna i uciążliwa i dalecy jeszcze jesteśmy od tego, by publicznie chełpić się pełnymi owocami naszej cichej pracy, a przecież wszystko co w Ostrawie morawskiej w ostatnich czasach zdziałano na korzyść polskości, miało swe źródło i poparcie w Tow. „Szkoły ludowej“. Nawet w tych dwóch ostatnich latach (o których korespondent wspomina jako o bezczynnych) dokonano najważniejszego może dzieła na kresach, bo założono w Ostrawie morawskiej szkołę polską, a w Witkowicach i Maryańskich Górach bezpłatne czytelnie i wypożyczalnie książek, i choć niepowołany korespondent zapomniał o tych czynach, polska ludność w Ostrawie przecież o nich pamięta, bo dzieci swe tłumnie do szkoły posyła a z książek nader licznie korzysta.

Szkołę dla analfabetów istotnie (jak mówi korespondent) zwinięto i to nie 2 ale 3 razy, bo tyleż było dotąd kompletnych kursów, a i obecny kurs 4-ty zostanie zwinięty, gdy uczniów zabraknie, boć przecie to jest celem szkoły dla analfabetów. O chórze orkiestralnym nic nie wiemy, czy kiedykolwiek istniał, natomiast chór śpiewacki męski jak był tak jest do dzisiaj, jeden w Ostrawie morawskiej, drugi w Czytelni witkowickiej, kółka amatorskie są również dwa (młodsze w Witkowicach nader ruchliwe) wreszcie kurs dla terminatorów został nie zwinięty, ale znacznie rozszerzony przez zamienienie na szkołę przemysłową, której plan zatwierdził Zarząd Główny i władze szkolne i który bardzo pomyślnie się rozwija.

Jaką złą wolą, czy nieznajomością rzeczy kierował się korespondent-amator wystarczy zwrot z jego korespondencyi iż „Walne Zgromadzenie d. 5 kwietnia odbyło się dzięki pomocy członków zakładającego się koła w Witkowicach“ jak gdyby ci uczestnicy zgromadzenia z Witkowic, byli czemś obcem nie członkami koła ostrawskiego i jak gdyby nie jako t...

---

# DZIWNE PRZYGODY DAWIDA BALFOUR'A.

Przez

L. STEVENSONA.

(29)

(Ciąg dalszy).

— Och! jestem zabity — krzyknął kilka razy.

Prawnik schwytał go w ramiona — służący ręce załamywali.

Po chwili ranny powiódł wystraszonemi oczami po obecnych, i zmienionym, wtrząsającym do głębi głosem, rzekł: „Myślcie o sobie, ratujcie się, ja umieram!“

Spróbował rozpiąć ubranie, jak gdyby chciał ranę zobaczyć, lecz bezsilne palce ześlizgnęły się z guzików. Westchnął głęboko, głowa zwisła na ramię i skończył. Prawnik nie wyrzekł słowa. Twarz jego przybrała ostry wyraz i stała się równie białą, jak twarz zmarłego. Służący wybuchnął krzykiem i płaczem, jak dziecko, ja zaś stałem i patrzyłem ze zgrozą. Podoficer na pierwszy huk wystrzału pobiegł ku żołnierzom, aby przyspieszyć ich przybycie. Wreszcie prawnik położył na ziemię zmarłego w kałuży jego własnej krwi, a sam podniósł się, chwiejąc się na nogach. Jego to ruchy przyprowadziły mnie do przytomności, bo w tejże samej chwili zacząłem wdrapywać się na pagórek z okrzykiem: „morderca! morderca“!

Tak mało czasu od owego fatalnego strzału upłynęło, że kiedy dostałem się na wierzchołek urwistego wzgórza i mogłem wzrokiem sięgnąć naokoło, ujrzałem w niewielkiej odległości szybko oddalającego się mordercę. Był on człowiekiem wysokiego wzrostu, w czarnym surducie z metalowymi guzikami i niósł długą fuzyę.

— Tu! — krzyknąłem — widzę go.

Wtedy morderca obejrzał się szybko przez ramię i zaczął biedz. Za chwilę znikł w kępie brzóz. Znów go potem zobaczyłem, wdrapującego się zwinnie, jak zwierzę, na stromą górę. Wreszcie, gdy spuścił się w nizinę, zupełnie znikł mi z oczu.

Biegnąc przez cały ten czas, byłem już daleko, gdy usłyszałem wołanie, aby się zatrzymać. Znajdowałem się na skraju góry, pokrytej drzewami. Gdy się zatrzymałem i obejrzałem, widzieć mogłem odkryty pagórek. Adwokat i podoficer stali ponad drogą, wołając, i przyzywając znakami, abym się wrócił, a z lewej strony żołnierze z bronią w ręku, zaczęli jeden po drugim, przedzierać się z lasu.

— Dlaczego mam wracać — krzyknąłem, wejdźcie wy na górę!

— Dziesięć funt. szt. dam temu, kto schwyta tego chłopca — zawołał prawnik. On jest współwinowajcą. Postawiono go tu, aby nas zatrzymał swemi pytaniami.

Gdym to zupełnie wyraźnie usłyszał, serce z trwogi przestało mi bić. Doprawdy, inną jest rzeczą wystawić swe życie, na niebezpieczeństwo, a inną, być zagrożonym utratą życia wraz z honorem! Zresztą, przyszło to tak nagle i niespodziewanie, jak piorun z jasnego nieba — osłupiały stałem bezradnie.

Żołnierze rozproszyli się naokoło, niektórzy z nich biegli ku mnie, drudzy broń skierowali. A ja wciąż stałem!

— Zejdź tu między drzewa, usłyszałem nagle głos tuż w pobliżu. Prawie bezwiednie byłem posłusznym. Gdy schodziłem, słyszałem kule świszczące w brzozach. Ukrytego między drzewami ujrzałem Alana Brack, z wędką w ręku.

Nie przywitał mnie, nie była to chwila na grzeczności. — Chodź — krzyknął, i zaczął biedz wzdłuż góry, ku Balachulish, a ja, jak owca, biegłem za nim. To biegliśmy wśród brzóz, to kryliśmy się, schylając, za małemi wzniesieniami, to pełzaliśmy na czworakach między paprocią.

Posuwaliśmy się tak szybko, że myślałem, iż serce mi pęknie ze zmęczenia. Nie było

cy w zgromadzeniu brali udział. A przecież na zgromadzeniu byli członkowie i z Maryańskich Gór i z Polskiej Ostrawy i z Michałkowic, bo koło ostrawskie ma członków w jak najszerszej okolicy i w tem właśnie leży jego siła i żywotność. I zgromadzenie przyszło do skutku istotnie dzięki wszystkim swym członkom, którzy nawet z oddali przybyć zechcieli i którym też prezes zł.żył za to podziękowanie.

Po dokładniejsze daty z czynności naszego koła odsyłamy wszystkich do sprawozdania zarządu głównego — na zakończenie nadmieniamy tylko, iż źle służy sprawie narodowej ten, kto z tendencyjnych przyczyn, lub nieznajomości napada publicznie na działalność towarzystw polskich na kresach.

Spodziewamy się, że zaczepione razem z nami stowarzyszenie „Jedność“ potrafi rzeczowo odeprzeć insynuowane mu zarzuty.

Z zarządu koła tow. Szkoły Lud. w Ostrawie morawskiej.

*Zygmunt Mayer.* *Dr. Wacław Seidl.*

## Maszyny do pisania.

W ciągu ostatnich lat kilkunastu ogromnie rozpowszechniły się w świecie cywilizowanym maszyny do pisania. Żaden kantor, żadne biuro większe zagranicą nie obywa się dziś bez specyali ty „klawiszującego“ wprawnie listy handlowe, urzędowe sprawozdania i sążniste referaty, nad których przepisywaniem do niedawna przez długie godziny skrzypiało pióro ubogiego skryby, pochylonego nad stołem do późnej nocy i psującego sobie wzrok przy świetle lichej lampy. Ta robota żmudna i niepopłatna, dzięki maszynie, załatwia się dziś znacznie szybciej i taniej. Zrozumiały to przedewszystkiem społeczeństwa, dla których czas istotnie jest pieniądzem. Przoduje zaś w tym względzie Ameryka, zwłaszcza Stany Zjednoczone, gdzie maszyna do pisania jest najwięcej rozpowszechniona i gdzie rozwinął się na wielką skalę przemysł wytwórczy w tym kierunku. Już w roku 1890 było tam 30 fabryk maszyn do pisania, rozporządzających kapitałem 7 milionów franków. Dziś jest ich 50 z 45 milionami kapitału, zatrudniających 4,500 osób, których płace wynoszą przeszło 2 miliony franków. Wartość wyrobów tych fabryk dosięga 35 milionów fr. rocznie. Wywóz, przeważnie do Europy, wynosi 39% ogólnej wartości wyrobów. Najwięcej amerykańskich maszyn do pisania kupuje Anglia (48%). Potem idą Niemcy, Francya i Belgia. Maszyny te zresztą rozchodzą się po całym świecie, bo nawet zapotrzebowania Chin, Japonii i Indyi stale wzrastają.

U nas maszyna do pisania przyjmuje się dość powoli. Nie jest już ona wprawdzie rzadkością, ale — stanowczo powinna mieć zastosowanie szersze, niż dotychczas. Byłoby np. bardzo pożądane, aby wszelkie odpisy dokumentów, kopie aktów notaryalnych i wogóle każdy papier, w którym chodzi o czytelność, były pisane tylko na maszynach. Ileż to czasu tracą u nas adwokaci na odczytywanie fascykułów każdej sprawy, ileż, pomimo wprawy, mają nieraz kłopotu z niewyraźnem, szybkiem, urzędniczem pismem kancelaryjnem? Również i w naszych stosunkach handlowych maszyna do pisania ma jeszcze tysiące placówek do zdobycia. Najszersze jednak zastosowanie znaleźć powinna we wszelkich biurach, gdzie jeszcze *antiquo usu* pełno automatów ludzkich, przepisujących „na czysto“ stosy papierów. O ileż produkcyjniej praca tych ludzi będzie mogła być zużytkowana w przyszłości, gdy jeden wprawny „maszynista“ lub „maszynistka“, zastąpi kilku zawodowych „przepisywaczów“, wytężających myśl na kaligraficzne *esy-floresy* i usypiających nad niemi. Tylko — że my, podobno, jesteśmy jeszcze tak ubodzy, że maszyny do pisania są dla nas zadrogie. Co innego Chiny, Japonia i Indye.

# KRONIKA.

**Kraków, 20 kwietnia.**

**Kalendarzyk.** Dziś Agnieszki z Pol., Wiktora i Teodora. Jutro Anzelma bisk. Pojutrze Sotera i Kaja męcz.

Dziś o godz. 8 rano + 1° C.

**Repertoar teatru miejskiego w Krakowie.**

We wtorek „Marya Stuart“ (występ p. H. Modrzejewskiej).

W środę „Dzwon zatopiony“ (ceny zniżone).

W czwartek „Gioconda“ (występ p. H. Modrzejewskiej).

W sobotę „Antygona“ tragedya Sofoklesa, przekład K. Morawskiego, „Protesilas i Laodamia“, tragedya Stan. Wyspiańskiego (występ p. H. Modrzejewskiej).

W niedzielę „Antygona“ i „Protesilas i Laodamia (przedostatni występ p. H. Modrzejewskiej).

**Wypożyczanie bezpłatne książek z biblioteki „Kuryera Krakowskiego“ odbywa się dla prenumeratorów trzy razy w tygodniu, a mianowicie: w poniedziałki i piątki od godz. 9 do 11 rano, w środy zaś od godz. 3 do 5 po południu.**

**Nieporozumienie.** Ogłosiliśmy wyraźnie, że prenumeratorom krakowskim będziemy pożyczali bezpłatnie książki z naszej biblioteki. Tymczasem zgłaszają się osoby z prowincyi o przesłanie im książek. Zwracamy ich uwagę, że sama opłata pocztowa od przesyłki każdego dzieła pod wskazanym adresem i od odesłania go do administracyi wyniosłaby conajmniej 72 centów. Dlatego też dla prenumeratorów zamiejscowych, przeznaczyliśmy premie książkowe. Jutro zawiadomimy, komu los przyznał premię w tym miesiącu.

**Ładnej wiosny** doczekaliśmy się w tym roku! Po cudownej pogodzie, jaką darzyło nas niebo w ostatnich dniach marca i z początkiem kwietnia, po tej pogodzie, która niejednego skłoniła do przechowania futra, lub zimowego palta w... zakładzie zastawniczym, nagle zastrajkowało słoneczko, skryło się gdzieś za ciężkie ołowiano-szare chmurzyska i... I moglibyśmy jeszcze przeboleć tę stratę, jako chwilowy kaprys atmosfery, gdyby nie te ostatnie zaburzenia niebieskie, jakie rozpoczęły szalony „Cake-Walck“ w sobotę.

Już w piątek różne znaki na niebie i na ziemi, zapowiadały straszne konflikty atmosferyczne. Beczkowóz magistracki nr. 22.

---

czasu do zebrania myśli, ani tchu, do wydania z siebie głosu. Pamiętam, że wydało mi się dziwnem iż Alan stawał wyprostowany od czasu do czasu i oglądał się za siebie, a każdym razem, gdy to czynił, słyszałem odległe wołanie i krzyki żołnierzy.

Tak trwało kwadrans — wtedy Alan rzucił się płasko na ziemię i zwrócił się do mnie: — Teraz czyń jak ja, idzie o życie! I z równym pośpiechem, tylko o wiele ostrożniej, tą samą drogą, lub może trochę wyżej, skierowaliśmy się napowrót z boku góry, aż wreszcie Alan wpadł do wysoko leżącego lasu w Lettermore, prawie w to samo miejsce, gdzie go wprzód znalazłem — i położył się na ziemię twarzą w paproci, dysząc jak pies. Mnie w głowie także się kręciło, boki bolały, język wisiał, sztywniał z upału i oschłości, leżałem jak nieżywy obok mego towarzysza.

XVIII.

**Rozmowa z Alanem w lesie.**

Pierwszy przyszedł do siebie Alan. Wstał, poszedł na brzeg lasu, wyjrzał ostrożnie, potem wrócił i usiadł.

— I cóż, Dawidzie, gorąca to była przeprawa?

Nic nie odpowiedziałem, nie podniosłem nawet głowy.

Przed chwilą byłem świadkiem skrytego morderstwa: człowiek czerstwy, w pełni sił żywotnych i humoru, został w jednem mgnieniu oka położony trupem! Czułem dla niego serdeczną litość, lecz boleśniejszym od niej był zawód, doznany co do Alana. Nie wątpiłem o jego winie. Morderstwo dokonane zostało na człowieku, którego on nienawidził, a on krył się w tym czasie między drzewami, a potem, ścigany przez wojsko, uciekał.

Czy on sam, własną ręką dał ognia, czy też komu innemu kazał to uczynić — wszystko to było jedno. W mojem przekonaniu jedyny przyjaciel, jakiego miałem w tym dzikim kraju, splamił się skrytobójstwem! Nie mogłem spojrzeć mu w oczy, wstręt we mnie budził.

— Czy ciągle jeszcze jesteś tak bardzo zmęczony? — spytał znowu.

— Nie! — rzekłem z twarzą ukrytą wciąż w paproci; — nie. Już nie jestem zmęczony i mogę mówić. Musimy się rozstać! Lubiłem cię bardzo, Alanie, lecz twoje drogi nie są mojemi, i nie wedle przykazań boskich.

— Ciężko byłoby mi rozstać się z tobą, Dawidzie, bez wiadomej mi przyczyny — rzekł Alan bardzo poważnie.

— Jeśli masz co do zarzucenia mojej dobrej sławie, to w imię naszej starej znajomości, powinieneś mi tem powiedzieć, Jeżeli zaś przyczyną naszego rozstania ma to być jedynie, że niechęć powziąłeś do mnie — właściwem będzie, gdy obelgę rozważę i ocenię.

— Alanie, jakie znaczenie mają twoje wyrazy? Wiem dobrze, że tam, przy drodze leży zamordowany znienacka Campbelista.

Milczał długą chwilą, potem rzekł:

— Czyś słyszał kiedy opowieść o człowieku i o dobrym ludzie?

— Nie i nie jestem ciekawy słyszeć.

— Jednak pozwolisz, że ci ją opowiem. Człowiek ten, po rozbiciu się okrętu, wyrzucony został na skały. Dobry lud, w przejściu do Irlandyi, przybywał czasem na te skały dla odpoczynku. Człowiek nie ustawał płakać i wołać, żeby mu pozwolonem było tylko raz przed śmiercią oglądać swoje dziecko. Król dobrego ludu zlitował się, kazał przynieść w worku dziecko i położyć obok człowieka, pogrążonego we śnie. Gdy się obudził ujrzał worek z czemś poruszającem się wewnątrz. Zdaje się, że był on jednym z tych, którzy zawsze coś złego podejrzywają. Dla pewności, przebił naprzód worek sztyletem, a potem go otworzył. Mnie się zdaje, panie Balfour, że jesteś podobnym do tego człowieka. C. d. n.

który nawet ulicę Karmelicką skrapiać raczył, samem ukazaniem się przepowiadał conajmniej deszcz blizki. Wężownice, które pełniły służbę na rynku, kurz wzbijający się słupami na plantach, wszystko to zapowiadało coś niezwykłego. Aż nadeszła noc czarna z soboty na niedzielę. Wczesnym rankiem, zanim szarzało jeszcze na świecie, otworzyły się upusty niebieskie i potoki dżdżu jęły całować ziemię, przyprowadzając ją do takiej miękkości, jak łzy niewieście granitowy charakter męża... Snać jednak za mało to było jeszcze, bo południem zawyły wichry i śnieżek drobny wędrówkę na ziemię rozpoczął. Jak owa chmara rycerstwa, co ławą ruszywszy na wroga, zdala ślad swój tumanem pyłu znaczy, a po starciu gęsto trupem pole ściele, tak śnieg on zaległ ulice miasta i bez poetyckiej przesady po kostki sięgał przechodniom...

Jako zaś kropla kropli, bliźniak bliźniakowi, a bryndza bryndzy (n. b. dziennikarskiej) jest podobna, tak podobna była sobocie niedziela, jako, że rankiem wichry z deszczem w powietrzu igrały, a przedsię koło wieczora śnieg jął pomiatać, bacząc pilnie, by dzisiejszym rankiem naród krakowski ni na brak błota, ni na brak wilgoci uskarżać się nie mógł.

Ładnej doczekaliśmy się wiosny! Jak zaś aura jej się co chwila zmienia, tak i styl tej notatki przekształcił się w naskórek kameleona...

**Węgle**, gotowe znów podrożeć, wobec znacznego zapotrzebowania, jakie spowodowały obecne zimna. Niektórzy składnicy podwyższyli ceny już obecnie, o cztery halerze i zacierają ręce z radości, myślą bowiem, że zimna potrwają dłużej, a ani zrobią niezły interes na tem. Tymczasem zdaje się, że atmosfera, tak samo, jak zakpiła sobie z wiosennych zapatrywań mieszkańców naszego miasta, tak z kolei zakpi sobie z zimowych nadziei panów składników. Ale to trudno! „Jaką miarką mierzysz, taką ci odmierzą"!

**15 ludzi**, wyraźnie piętnastu ludzi zamiatało dziś o godzinie siódmej rano ulicę Sławkowską. Niezwykłe to zjawisko zgromadziło na miejsce cudownego wypadku tłumy publiczności, które głośno wyrażały gorące uznanie dla władzy, raz wreszcie niby spełniającej swój obowiązek.

**Pius Weloński**, znany rzeźbiarz, bawił w naszem mieście. Jednocześnie gościł w niem p. Nelli z Rzymu, właściciel znanej odlewarni, z której wyszedł posąg Mickiewicza.

**Z teatru**. W sobotę na scenie miejskiej widzieliśmy wznowienie jednego z najlepszych dramatów psychologicznych d'Anunzia „Giocondo" Rolę bohaterki dramatu Sylwii objęła goszczącą już po raz wtóry w naszem mieście p. Modrzejewska. Musimy przyznać, że rolę wystudyowała ona bardzo troskliwie, że nie zapomniała o żadnym szczególe, to też gra jej, zwłaszcza sceny mimiczne, musiały zrobić na widzu potężne wrażenie. (*n.*)

**„Z przewodniej"**. O atmosferze w innem miejscu pisano pewnie, zatem me biedne pienie o „przewodniej" nie będzie zbyt bogatem, bo czem pisać? o czem pisać? Człek święcił dzień w ten święty, że gwoli zimna i szarugi od rana był... urżnięty! W Krakowie jednak, przyzna każdy, na nudy to jest sposób jedyny, który jest w użyciu u wielu, wielu osób. A zatem piszę. Gdym się spotkał z kolegą moim zrana przedstawiam wniosek: „Chodź na flaczki i sznapsa do Aksmana", a że ten znowu w towarzystwie szedł z innym zaś kolegą w formalnej kwestyi spór wyniknął: „Iść do Beliczeńskiego"! Gdy zaś złagodzić spór ten straszny nie było jak sposobu, jam wraz z nim pychę z serca zrzucił i — poszliśmy do obu! Ach! gdybym tylko chciał opisać, gdzie jeszcześmy nie byli, chociaż zacząłem wczesnym rankiem, pisałbym do tej chwili — więc kończę na tem, żeśmy pili polsku, aż do spodu a już najwięcej u Hawełki (nie piwa, ale miodu!). Szlachetne były wszelkie trunki a nasze głowy mocne, niezaszkodziło więc nam wcale to picie całonocne, a nawet przyznam, że w redakcyi nie miałem wcale krzyku, choć tam „zeszedłem" wczesnym rankiem pod... gwiazdą kociokwiku!..

Wyborna była, przewspaniała, niedziela ta przewodnia; co chce niech baje Lutosławski, ja chciałbym żyć tak co dnia! (*kr.*)

**Święcone** w resursie urzędniczej zgromadziło około 150 osób, wśród których płeć „piękna", była silnie i „pięknie" reprezentowaną. Święcenia dokonał ks. Ambroży Federowicz, przeor Paulinów, poczem przemówił w serdecznych słowach do zgromadzonych. Szereg toastów rozpoczął prezes resursy, poseł Klemensiewicz. Prócz niego przemawiali: poseł Rotter, pp. Winkler, Niklas, Niemetz, Plutyński i t. d. Szereg toastów zakończył pięknym toastem „kochajmy się" poseł Petelenz. Wśród zgromadzonych panował niezwykle serdeczny i wesoły nastrój. Młodzież puściła się w tany, które trwały do rana, a starsi przy pogawędce i lampce wina gwarzyli o sprawach krajowych, miejskich i resursowych, no i o... wiośnie, która okryta płaszczem śniegowym zaglądała przez okna.

**Z sali sądowej**. (*Rafinowany oszust*). W dniu dzisiejszym toczy się przed trybunałem sędziów przysięgłych rozprawa, przeciw Matesowi Schlusslowi, kupcowi krakowskiemu, karanemu już za fałszywą kredę, oskarżonemu o to, że skorzystał z nieuwagi kasyera Banku galicyjskiego p. W. Kwoszyca, który zamiast 200, wydał mu w pośpiechu 2000 koron. Było to dnia 9 września zeszłego roku, w chwili, kiedy rozeszła się pogłoska, że w Banku galicyjskim dla handlu i przemysłu zaszło wielkie sprzeniewierzenie na pół miliona koron, skutkiem czego napłynęło do kasy bardzo wielu interesantów z żądaniem wypłat ulokowanych kapitałów. Fakt ten spowodował nieuwagę kasyera i skorzystanie z tejże przez oskarżonego.

Mates Schlüssel stanowczo temu przeczy. Do rozprawy powołano dwóch świadków, a to: p. Wincentego Kwaszyca i agenta pol. Bronisława Karcza, który u oskarżonego przeprowadzał rewizyę. Wynik rozprawy podamy jutro.

**Goście z Górnego Śląska** w liczbie 12 osób bawili w ostatnich dwóch dniach w naszym grodzie. Mimo strasznej niepogody, pątnicy narodowi zwiedzili wszystkie niemal kościoły i pamiątki ojczyste. Przybyłych oprowadzali akademicy.

**Gwałtowny wicher**, jaki szaleje już od trzech dni, stał się przyczyną kilku nieszczęśliwych wypadków. Towarzystwo ratunkowe opatrzyło: Jana Picha, któremu zerwana z dachu blacha odcięła prawie zupełnie kawałek brody, 6-letnią M. Łuszek, silnie potłuczoną, i Romana Jaworskiego, na którego spadła okiennica, powodując okaleczenie.

**Święcone w „Sokole"** pomimo okrutnej przerażającej wprost niepogody zgromadziło tylu uczestników jak już dawno na żadnej podobnej uroczystości nie widzieliśmy w tym gmachu. Prócz druhów w mundurach i znacznego zastępu płci pięknej zasiedli przy stołach posłowie miasta Krakowa i naszego powiatu, reprezentanci rady miejskiej, weterani z roku 1863, i przedstawiciel włościaństwa prezes „Sokoła" w Bieńczycach. Chór i orkiestra sokoła umilały zabawę. Po złożeniu sobie wzajemnych życzeń szereg przemówień zagaił w podniosłej mowie O. Anioł Kapucyn, poczem prezes „Sokoła" inżynier Turski wychylił toast na cześć miasta Krakowa, p. Stępiński pił za zdrowie posłów, redaktor Konopiński wychylił kielich na cześć niewiast polskich, a dr. Caro za pomyślność dziennikarstwa polskiego. Oprócz tego przemawiali jeszcze pp. Rudnicki na cześć duchowieństwa, dr. Wojciechowski na zdrowie mieszczaństwa, Kosobudzki i t. d. Najbardziej patryotyczne, najbardziej szowinistyczne, rzec można „wszechpolskie" mowy wygłosili reprezentanci konserwatywnej partyi, dr. Leo który wzniósł toast na cześć powstańców z r. 64 i redaktor Chyliński w końcowym toaście „Kochajmy się".

**Trup**. Onegdaj zauważono obok podkopu kolejowego między Białym Prądnikiem, a Krowodrzą zwłoki mężczyzny. Na razie nie można było sprawdzić nazwiska tegoż, dopiero na drugi dzień przeprowadzone śledztwo wykazało, że jest niejaki Michał Mozgownik, liczący lat 40, były woźny tutejszego sądu, który z powodu rozmiękczenia mózgu został ze służby usunięty. Zwłoki odwieziono do Zakładu medycyny sądowej, gdzie sekcya wykaże dopiero przyczynę śmierci.

**Wykaz spraw**, jakie się toczyć będą przed Sądem przysięgłych w II. kadencyi — obecwa: 20 kwietnia, Mates Schüssel, oszustwo; 21 kwietnia, Anna Kurleto, podpalenie; i Wojciech Malarz, kradzież; 22 kwietnia, Wacław Hardyn i spól., zgwałcenie (tajna!); 23 i 24 kwietnia, Piotr Heretyk i spól., kradzież; 27 kwietnia, Szymon Leibler, oszustwo; 28 kwietnia, Józef Misiaszek, rabunek i zgwałcenie; 29 kwietnia, Mikołaj Brzezicki, oszustwo, *30 kwietnia, Bronisława Lembasowa, morderstwo;* 4, 5, 6 i 7 maja, Jakób Osterjung i spól., oszustwo. Dalsze rozprawy zostaną wyznaczone później.

**Święcone w „Gwieździe"**, które się odbyło onegdaj — zgromadziło spory zastęp członków. Wśród licznych przemówień i toastów na temat wzajemnej pomocy, miłości i samowiedzy narodowej, czas przepłynął nad wyraz przyjemnie i serdecznie. Nie brakło tam śpiewów i wesołej zabawy. Wogóle nastrój cały nosił na sobie przyjacielskie i familijne piętno.

**Oryginalny anons** Dzisiaj otrzymaliśmy anons o następującej treści: „Zakupuję głowy wszelkiego gatunku i rodzaju, oraz

i inne części ciała, które pozrywał wczorajszy wicher. Płacę gotówką".

**Opóźnienie pociągów**, przerwanie linii telefonicznych z Wiedniem i Lwowem — oto skutki śnieżycy, jaka szalała w ciągu dwóch dni ostatnich. W sobotę pociągi wiedeńskie, które miały być na dworcu naszym przed godziną dziesiątą, stanęły na miejscu dopiero koło dwunastej, a więc z dwugodzinnem opóźnieniem. Dzisiaj do godziny 11. nie otrzymaliśmy jeszcze poczty warszawskiej tej, którą codziennie otrzymujemy o godzinie ósmej rano. Śnieżyca dała się więc naszej i królowej opinii publicznej we znaki.

**„Romantyczni"**. Przed kilku dniami zajechał do Krakowa niejaki Balicki (?) i rozłożył się w jednym z podrzędnych hoteli na Kaźmierzu. Jakimś dziwnym przypadkiem dostał się on do domu pewnego urzędnika i tu począł się ubiegać o rękę jego córki. Sprytny amant cuda o sobie prawił. Zwiedził świat cały, szczególnie Afrykę i Azyę, dokonał wiele walecznych czynów i t. p. Koniec końcem zyskał miłość i zaufanie u panny. W dwóch dniach jednak z wielkiej miłości zniknął wraz z panną bez śladu. Zrozpaczeni rodzice dali znać dotyczącej władzy, która rozesłała za zbiegami gończe listy. Zachodzi podejrzenie, że ma się do czynienia z handlarzem dziewcząt.

**Zaginął** 10 letni Michał Śmietana, którego opiekun włościanin Jakób Zamęta z Targowiska pod Bochnią — oddał rodzicom zamieszkałym w Krakowie. Chłopak po otrzymaniu kary cielesnej umknął z domu i kilka już tygodni nie ma o nim żadnej wieści. Gdyby ktoś miał o zbiegu jakąś wiadomość, prosimy o zgłoszenie się do naszej administracyi.

**Z „Harmonii"** donoszą, że komitet dla urządzenia „Kiermaszu" dnia 3. maja 1903 w parku Dra Jordana złożony z pań i panów, ustalił niezwykle urozmaicony program na tle życia narodowego przeszłej doby.

**Rozkoszna**... radosna zawitała wiosna — Człek różowe snuł nadzieje, a tu deszcz, jak z cebra leje — znowu aura sprośna! Niemożliwa słota — bruki pełne błota.. Zniknęły letnie „ornamenta" znów panowie i panięta włażą w paletota!

**Kronika policyjna**. Aresztowano niejaką Józefę Piórkowską służącą, która przybywszy z Bulowic pod Białą przywiozła ze sobą mnóstwo skradzionych rzeczy. Między temi znajdował się rewolwer, zegarek z łańcuszkiem, ubrania i t. p.

Od osoby podejrzanej odebrano zegarek złoty z łańcuszkiem, wartości przeszło 200 koron. Zegarek ma numer 67.388. Jest on napewno skradziony, gdyż osoba ta utrzymuje stosunki z złodziejami kieszonkowymi.

U oficyała pocztowego zamieszkałego przy ul. Filipa 10 okradziono szafę z wiktuałami.

**Znaleziono** piękne roboty szkolne na tiulu. Do odebrania u p. Świerczyńskiej — Karmelicka 11. I. p.



## Nekrologia.

† Czesław Kizel właściciel młyna w Zielonkach lat 67.

† Kazimierz Lniski rygorozant medycyny lat 30.

**Prusacy przeciw „święconemu" polskiemu.** Od księdza proboszcza z Pniowa otrzymujemy następującą wiadomość:

Nie wiem, co to ma znaczyć?! Zdaje się, że to jest zajadłość i wściekłość pruska na nas, Polaków i katolików. Przed świętami przychodzili do mnie ludzie i prosili, aby poświęcić dary Boże, które, jako „święcone", mieli posyłać do swych dzieci, pracujących w Prusiech. Posyłki wyekspedyowano z zachowaniem wszelkich przepisów pocztowych.

Poczta wszystkie pakuneczki przyjęła i wysłała do Prus. Dwa dni po świętach wszystkie pakunki, w liczbie dziewiętnastu, Prusacy wrócili, a poczta nasza domaga się od każdego posyłającego po 80 groszy opłaty powrotnej. Płacz i lament w parafii, że biedni robotnicy nasi, pracujący w pocie czoła zagranicą, święconego od swych rodziców nie otrzymali. Boleść serce ściska, czego już ci Prusacy z nami nie wyprawiają, a nie ma ludzi, którzyby się za nami śmiało i otwarcie ujęli!

Oburzającego faktu tego nie podobna puścić płazem. W pierszym rzędzie sama poczta austryacka powinnaby zażądać wyjaśnienia od pruskiej poczty, a następnie ministerstwo handlu upomnieć się u rządu pruskiego. Gdyby to nie nastąpiło lub nie pomogło, posłowie nasi zwrócą się (?) z zapytaniem do hr. Gołuchowskiego.

**119-letni starzec.** Do redakcyi „Odessk. Now." przyszedł staruszek, Aleksander Wojciechowski, zamieszkały przy ulicy Książęcej. Wojciechowski — jak twierdzi — skończy wkrótce 119-ty rok życia; urodził się w roku 1784; według paszportu liczy 112 lat. Wojciechowski miał kiedyś majątek w powiecie kobryńskim, a 40 lat temu wybrał się do Odessy. W Kowlu, gdzie się zatrzymał, wybuchł w nocy pożar, który strawił prawie całe miasto; w ogniu Wojciechowski stracił 26,000 rb., które miał z sobą. W Odessie Wojciechowski zarządzał domami Trabottiego, barona Maasa i Rodokanaki, a kiedyś służył przez 17 lat za lokaja w majątku hr. Krasińskiego, w gub. Podolskiej. Obecnie mieszka z żoną, staruszką 75-letnią; dzieci nie mają. Wojciechowski zachował umysł jasny i pamięta wszystkie zdarzenia swego długiego żywota. Słyszy bardzo dobrze, wzrok ma słaby. Ożenił się, mając 100 lat wieku. Powierzchowność jego bynajmniej nie zdradza tak późnego wieku.

**Z tragedyi życiowych**. W Paryżu wyszła w tych dniach książka p. t. „Syberya i Kalifornia", w której autor, p. Albert Bordeaux, opisuje przygody poszukiwaczy złota w Kalifornii i Klondyce. Między innemi znajdujemy śród tych przygód zdarzenie następujące: W Kalifornii chowano pewnego dnia człowieka, który stracił życie na daremnych poszukiwaniach żyły złota i zmarł w ostatniej nędzy. Gdy grabarze szpuszczali trumnę do dołu, a klęczący dokoła grobu tłum modlił się, jeden z obecnych, skutkiem przyzwyczajenia bardzo w tej krainie złotodajnej rozpowszechnionego, zaczął rozdrapywać ziemię, na której klęczał. Nie zwracał uwagi na tę pracę machinalną, gdy nagle palce jego natrafiły na złoto; zapominając gdzie jest i po co przyszedł, zabrał się gorączkowo do tej pracy, którą zaczął bezwiednie, co spostrzegłszy inni, poszli za jego przykładem, — nawet grabarze porzucili trumnę i niebawem wszyscy obecni rozkopywali ziemię, w której spocząć miał zmarły. Musiano tego nieboraka przenieść gdzieindziej, pędzono go z miejsca na miejsce, a ziemia, która miała mu dać wieczny spoczynek, stała się widownią gorączkowej pracy. Los zawistny zrządził, że nieborak ów, nie znalazłszy złota za życia, musiał przed niem ustąpić po śmierci.

**Obyczaje weselne i ślubne nad Tamizą** zostały w ostatnich czasach, jak można najbardziej uproszczone. „Marriage Act" z r. 1886 ustanawia, że śluby udzielane być mogą tylko do godz. 3 po południu. Powód tego zastrzeżenia leży w tem, że wielu oblubieńców, którym dzień zbytnio się dłużył, stawało na kobiercu ślubnym w stanie — nietrzeźwym. Nie wiemy, ile to stosuje się i do osób „z towarzystwa", ale ponieważ za wysoką taksę 23 f. szt. 3 szyl. można otrzymać „special licence" od biskupa kanterburyjskiego, więc gentlemeni i ladies tem więcej dopełniają ślubów wieczorem, co stało się obecnie modą. Oblubieńcy w dniu ślubu spotykają się dopiero w kościele, punktualność zaś wszystkich należy do „dobrego tonu".

Właściwe wesele od dawna już wyszło z mody. Gościom podają filiżankę herbaty, kieliszek szampańskiego i lekkie zakąski z bufetu. Wogóle jedzenie i picie przestaje być u anglików punktem ciężkości zebrań towarzyskich. Nie należy to już do „dobrego tonu".

Nieodłączną jednak częścią składową wesela jest „wedding cake", ciastko weselne, rodzaj „baumkuchenu", mającego 4 stopy wysokości i uwieńczonego twardą cukrową pokrywą. Tę zdejmuje osobiście sam oblubieniec, a goście spożywają po kawałku. Ciasto weselne przynosi szczęście — tak chce przesąd, więc nawet nieobecnym krewnym i znajomym przysyłają z niego po trochu. Druchny kładą często kawałki tego ciasta pod poduszkę i śnią szczęśliwie o — wieńcu oblubienicy.

Mowy ślubne przestały być oddawna modnemi. Natomiast nie wyszło z obyczaju obdarzanie panny młodej podarunkami. Podarunki te bywają nieraz bardzo cenne, a napływa ich nieraz taka masa, że dbali o swoje dobro anglicy wpadli na osobliwy pomysł asekuracyi. Czy niedowierzają oni gościom weselnym, czy przypuszczają, że w tłoku i ogólnem zamięszaniu mogą tem łatwiej funkcyonować słynni od czasów Di-

ckensa złodzieje londyńscy, dość, że wśród orszaku weselnego na bogatych ślubach figuruje zawsze paru specyalnie wynajętych i przebranych — policyantów, a właściwie t. zw. detektivs". Jest to osobliwy rzeczywiście dodatek ślubny.

Wreszcie młoda para, po przebraniu się do drogi, wyrusza na dworzec, podróż bowiem poślubna szczególnie w Anglii jest nieodłączną od pierwszych dni małżeństwa. Za młodymi goście rzucają parę ziarnek ryżu, jako znak dostatku i biały atłasowy pantofelek, jako znak — spokoju i szczęścia... Nie wiadomo, jak ma sobie tłómaczyć ten ostatni symbol pan młody, ale to pewna, że w Anglii nie jest ani mniej, ani więcej mężów pod pantoflem, niż na całym świecie.

## Ofiary gry.

W ciągu **dwóch tygodni** w miesiącu marcu tak wyglądała lista samobójców, którzy targnęli się na swe życie po zupełnem zgraniu się w Monte Carlo:

Paweł Dupont, paryżanin, lat 25, zabił się dwoma strzałami z rewolweru. Przegrał 20.000 franków w Monte-Carlo.

Piotr Laurent, agent win z Marsylii. Straciwszy cały swój majątek w Monte-Carlo, około 135,000 franków, powiesił się w Ventimiglii (sąsiedniej stacyi kolejowej).

Finzi, Włoch, zmarł wskutek umyślnego zaczadzenia w hotelu w Monte-Carlo. Konsul włoski z Monaco, stwierdził, że zmarły otrzymał więcej niż 200.000 franków w ciągu 10 dni. Strata, którą poniósł w ciągu dwu miesięcy, wyniosła z górą pół miliona franków.

Edward Koczowski, poddany rosyjski, (narodowość nie podana) otruł się w Nicei strychniną. Przeniesiony do apteki, zdołał jeszcze wyszeptać: wszystko stracone....

Szmigielski, polak, lat 20, oficer marynarki. Przed zgonem przyznał się do strat „ogromnych".

Adler, niemiec, z Paderbornu, lat 72, powiesił się w Nicei. W liście do jednej ze swych córek zeznaje, że Monte-Carlo doprowadziło go do ostatniej nędzy, i dodaje, że zegarek złoty i 30 fr. powinny opędzić koszta jego pogrzebu.

Jakób Massardo, z Genui, garson z kawiarni, rzucił się z wierzchołka góry i zabił. Przegrał wszystkie swe oszczędności, gromadzone w ciągu lat 30.

Izaak Schraab, niemiec, z Mulhuzy, komiwojażer, lat 65. Odebrał sobie życie w Nicei, rzucając się do morza. Strata 15,000 fr. w Monte-Carlo obłąkała go.

Małżeństwo Gross otruło się w Monaco, po przegraniu całego swego majątku.

Pizette, francuz, rejent przegrał 50,000 franków. Zabił się wystrzałem z rewolweru.

Ludwik Flandin, kupiec z Lugdunu, lat 52, również wystrzałem z rewolweru, odebrał sobie życie. Przegrał 80,000 fr.

Piotr Pichelet, francuz, rejent z Ouchin, przegrał cały swój majątek. Rzucił się do morza.

Feliks Kovtoski (?) „z Warszawy", przegrawszy wszystko w *trente-quarante*, siadł na kanapie w domu gry, przyłożył rewolwer do lewego boku i wystrzelił. Ubranie jego zaczęło się już palić, gdy służący przybiegli na huk strzału, wynieśli go do sąsiedniego pokoju. W nocy pogrzebano go na cmentarzu samobójców.

Michał Dobriceanu, rumun lat 24, student medycyny, odebrał sobie życie wystrzałem z pistoletu.

Largerie, paryżanin, literat, rzucił się do morza niedaleko domu gry.

Sacerdote, włoch, porucznik „bersaglierów", zupełnie zrujnowany, zastrzelił się.

„Hiszpan", o niewiadomem nazwisku, z Sewilli, bardzo znany w Monte-Carlo gracz, otruł się. Dzierżawcy kasyna próbowali przekonywać publiczność, że powodem samobójstwa była „nieszczęśliwa miłość".

Hrabina Laura Erdödy z Węgier i jej przyjaciel Mastelloni, poznali się w salonach kasyna i grali razem. Mastelloni zrujnował się daleko prędzej od bogatej hrabiny węgierskiej; ponieważ ta ostatnia odmówiła dalszych zaliczek na grę, M. wyciągnął rewolwer i strzelił do hrabiny, poczem drugim strzałem odebrał sobie życie. Oboje zmarli na miejscu.

Oprócz tych ofiar, zanotowanych zaledwie w ciągu **dwóch tygodni**, były jeszcze cztery samobójstwa. Powody ich na razie jednak nie zostały ujawnione, jakkolwiek wszystkie dane pozwalają się domyślać, że i tu sprawcą moralnym zbrodni był dom gry w Monte-Carlo. Straszne!

## Objaw, zasługujący na szczególną uwagę pp. lekarzy.

Dziwnemi drogami ludzkość dochodzi do wielkich wynalazków. Gdyby nie to, że Fenicyanom podróżującym zabrakło drzewa i że byli zmuszeni odgrzewać swój bigos na saletrze, do dnia dzisiejszego nie znalibyśmy prawdopodobnie szkła, a szyby wspaniałych naszych wystaw sklepowych byłyby sporządzane z desek.

Słyszałem, że pewien inżynier, idąc przez most, oddany swojej pieczy, wpadł w otwór aż po szyję. Gdyby nie ten przykry wypadek, inżynier nie byłby zauważył dziury, którą, dla zachowania bezpieczeństwa publicznego, należało załatać.

Ja również tylko szczególnym trafem dokonałem nader ważnego odkrycia naukowego.

Któż nie zna pana Pawła, który, jak bardzo wielu innych Pawłów jemu podobnych, wypełnia swoje czynne życie wygłaszaniem mów wszędzie, gdzie się da. — Ani jedno z zebrań publicznych, prywatnych, a nawet najściślej rodzinnych, nie może się obejść bez udziału tego, chętnie i wiele mówiącego człowieka.

Ludzie złośliwi ośmielają się utrzymywać, iż „pełen gotowości obywatelskiej" udział p. Pawła, każde z posiedzeń publicznych przedłuża o dwanaście godzin, oraz, że po wygłoszeniu jego mowy, słuchacze trącają się wzajemnie łokciami, zapytując:

— Co mu właściwie zależało na wygłoszeniu steku nie związanych ze sobą frazesów?

Ludzie zawsze byli, są i będą niesprawiedliwi, a przytem trudno im dogodzić. Żądają np., aby przemowa była nie tylko dźwięczną, lecz i mądrą.

Paweł występował z mowami zbyt często, to też niepodobna brać mu za złe, iż to, co mówił, miało się niekiedy z sensem aż do idyotyzmu.

Doświadczenie poucza nas, iż nic w naturze nie ginie i że ludzie, niekoniecznie mądrzy, też mają swoje miejsce na tym świecie.

Niektórzy miewają nawet po kilka miejsc wcale nie źle płatnych i wywyższających ich po nad poziom ludzi przeciętnie mądrych.

Lecz powracam do rzeczy.

W tych dniach odwiedziłem Pawła. Leżał na łóżku, miał twarz zlekka zaognioną i swoim zwyczajem, dla wprawy, wypowiadał rozmaite owacye, które zwartym szeregiem następowały po sobie.

Zauważyłem, iż to, co mówił, odznaczało się logiką. Co najważniesze, mowy były krótkie, treściwe i jędrne; przekonywały swoją argumentalnością i nie zabierały wiele czasu.

Zwróciłem się do obecnego lekarza z zapytaniem o znaczenie objawu niesłychanego.

Lekarz widział Pawła po raz pierwszy w życiu. Uważnie wysłuchał moich zeznań, poczem klasnął w dłonie i zawołał:

— Znajdujemy się u wrót olbrzymiego odkrycia! Zatem sądzisz pan, że Paweł zwykle wypowiada głupstwa?

— Czy ja sądzę? Zapytaj pan nieszczęśliwych uczestników zebrań, posiedzeń i zgromadzeń.

— Jednem słowem, zauważyłeś pan w nim zmiany na lepsze?

— Ależ to się rozumie!

Lekarz zaczął mówić tonem prelegenta lub w najgorszym razie nauczyciela, płatnego na godziny.

— Tak to nie ulega wątpliwości! Paweł ma gorączkę. Termometr wskazuje 40,8 stopni. Jest to stan, w którym ludzie przeciętnie mądrzy zaczynają bredzić, czyli innemi słowami, wpadają w malignę. Miałem do czynienia z pacyentem, który będąc zdrowym, wypowiadał światłe poglądy, lecz pod wpływem gorączki wykrzykiwał i łączył niesfornie najmniej pasujące ze sobą pojęcia. Tak naprzykład, wołał: „Po licha potrzebne nam są akademie malarskie? Bierze się dużo farby zielonej i czerwonej, miesza w jednym kuble, rozlewa na płótno, podpisuje: „Pochód zwycięzki Tyberyusza" i — fertig!"

— Zupełnie to samo mawiał Paweł, znajdując się w stanie zdrowia kwitnącego!

— A widzisz pan! To znaczy, że gdy człowiek mądry w gorączce wypowiada nonsensy, głupi musi czemś przecież zaznaczyć swój stan gorączkowy. Zrozum pan tylko. Nam, lekarzom, też się od chorych pewna pomoc należy. Przypuśćmy, że Paweł, będąc zdrowym, mówi głupstwa i że wpadłszy w gorączkę znowu prawi głupstwa. Jakże tu określać postępy choroby i stawiać należytą dyagnozę? Tymczasem przychodzę tu i słyszę wygłaszane przezeń słowa pełne mądrości. Im większe bredzenie — tem większe bredzenie, tem większe zasoby logiki. Czy pan słyszysz? Nasz chory nakłania ludy do zgody i miłości. Choroba rozprzestrzenia się i należy oczekiwać groźnych następstw. Nim wybije północ wystąpi on z mową na temat potrzeby popierania przemysłu swojskiego.

Zapłakałem.

— Mój Boże, będąc zdrowym, zawsze doradzał nam sprowadzanie towarów wyłącznie z zagranicy!

— Cóż robić! Gorączka robi swoje. W każdym razie postaram się o sprawienie mu ulgi. Gdy wysoka temperatura przeminie, wtedy Paweł znowu powróci do stanu normalnego. Będzie zatruwał życie swoim bliźnim marnowaniem swoich pojęć cudackich. Zanim to nastąpi, nie zwracaj pan uwagi na jego przemówienia pełne porywów szlachetnych.

## Ofiara golibrody.

(Opis do ilustracyi tytułowej).

Humorystyczny wypadek zdarzył się w Praczkowicach jak to podaje „Kuryer praski". Pewien golarz z Ujścia czeskiego nad

łobą przybył tam w sobotę rano, aby zaspokoić potrzeby klienteli, jaką miał na praczkowickim dworcu kolejowym. Skończywszy swą pracę poszedł do poczekalni, aby wypocząć tam zanim nadejdzie pociąg, którym miał odjechać do swej siedziby i zapoznał się w niej z jakimś pasażerem, zdążającym w wprost przeciwnym kierunku. Pasażer, który jechał na niedzielę do domu był nieogolony i gdy dowiedział się, że jego nowy znajomy jest golibrodą, póty mu nie dał spokoju, póki ten ostatecznie nie zdecydował się go ogolić. Gdy targ przyszedł do skutku golarz zabrał się do wykonania operacyi. Zaledwie jednak zdołał ogolić tak niespodziewanemu gościowi połowę brody nadszedł pociąg, zdążający do Ujścia. Golarz nie namyślał się ani chwili, zamknął brzytwę i zostawiwszy napółogolonego „pacyenta" wskoczył do pociągu który w tej chwili ruszył z miejsca. Nie trudno wyobrazić sobie, w jak „miłem" położeniu znalazł się biedny pasażer, tembardziej, że, gdy jemu się na łzy zbierało, widzowie tej sceny pękali ze śmiechu. Nazwiska tak golibrody, jak i jego ofiary nie są znane — a rzecz całą podajemy na odpowiedzialność „Kuryera praskiego" który pierwszy zamieścił tę wiadomość, grubo zakrawającą na t. zw. „michałek dziennikarski".

## Telegramy „Kuryera Krakowskiego".

z dnia 20 kwietnia.

**Wiedeń.** Cesarz przyjął wczoraj na audyencyi prezydenta gabinetu dra Szella.

**Wiedeń.** Wczoraj rano przybył tu ks. Arnulf bawarski z żoną i synem, dla wzięcia udziału w ślubie arcyksiężniczki Amalii. Cesarz powitał ich na dworcu, o godzinie 11 przyjął zaś obu książąt na osobnej audyencyi, a w kwadrans później rewizytował ich. Wieczorem odbył się w wielkiej Sali redutowej Burgu obiad dworski, w którym wziął udział cesarz, członkowie domu cesarskiego, książęta i księżne bawarskie, najwyżsi dygnitarze dworscy, ministrowie austryaccy i p. Szell, prezydenci obu Izb Rady państwa, burmistrz dr. Lueger i inni.

**Wiedeń.** Przez cały dzień wczorajszy srożyła się tu burza śnieżna. Wiele drutów telefonicznych pozrywanych.

**Budapeszt.** Od wczoraj rano panuje tu dotkliwe zimno i pada śnieg. Około południa zerwał się tak silny wiatr, że niebezpiecznie było chodzić po ulicach. Telegraficzne i telefoniczne linie poprzerywane, pociągi przychodzą spóźnione. Ministerstwo rolnictwa otrzymało doniesienia z komitatów o burzach śnieżnych i znacznych szkodach przez nie wywołanych. Ucierpiały zwłaszcza oziminy i drzewa owocowe, winnice i jarzyny mniej.

**Petersburg.** Car nadał ambasadorowi ros. w Wiedniu hr. Kapnistowi order Aleksandra Newskiego.

**Rzym.** „Tribuna" donosi, że Prinetti nadesłał do Zanardelliego list z oświadczeniem, że lekarze zalecili mu, by przez kilka miesięcy wstrzymał się zupełnie od pracy. Wskutek tego Prinetti uważa za swój obowiązek tekę swą oddać do rozporządzenia.

**Grenoble.** Sędzia śledczy przybył do klasztoru Kartuzów, aby przesłuchać przeora Rey'a i ojca Michela w sprawie Edgara Combesa. O. Rey zeznania swoje spisał; treść ich jest ściśle trzymana w tajemnicy. O. Michel nie chciał przyjąć sędziego śledczego.

**Paryż.** Półurzędowy komunikat donosi, że dep. Jollardt przyjął ofiarowane mu stanowisko jen. gubernatora Algieru.

**Paryż.** Na wczorajszym koncercie symfonicznym orkiestry „Colonne" nacyonaliści urządzili hałaśliwą demonstracyę przeciw Edwardowi Griegowi, który przybył tu, by dyrygować swym utworem. Powodem demonstrancyi był fakt, że Grieg w r. 1899 oświadczył się za Dreyfusem. Gdy Grieg pojawił się na estradzie, obsypano go obelgami. Część demonstrantów wydalono z sali, poczem koncert odbył się w dalej.

**Brema.** Wczoraj zamknięto tu międzynarodowy kongres antialkoholiczny. Następny odbędzie się w r. 1905 w Budapeszcie.

**Kopenhaga.** Wskutek silnej burzy stojący tu na kotwicy statek rosyjski zerwał się i uderzył tak silnie o brzeg, że musiał wezwać sygnałami pomocy, której udzieliły mu trzy parowce duńskie.

**Marsylia.** 60 żołnierzy, którzy po ukończeniu służby wojskowej mieli się udać na Korsykę, nie chciało wsiąść na okręt z powodu burzy i przybrali wobec oficera portowego groźną postawę. Odprowadzono ich do koszar. Z polecenia ministra wdrożono śledztwo.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca:
**Kazimierz Bartoszewicz.**

# Nadesłane.

## WYJAŚNIENIE.

Jedno z pism krakowskich w sprawozdaniu z tajnego posiedzenia Rady miejskiej, na którem była omawianą sprawa moja — przytoczyło szereg zarzutów na zasadzie których pozbawiono mnie na stare lata chleba i usiłowano odebrać mi cześć — do ostatnich dni mego późnego wieku nienaruszoną.

Odpowiadam więc na poczynione mi zarzuty wprost szczerze i otwarcie, choćby tylko dla zaznaczenia, że ci pp. Radcy miejscy, którzy głosowali *przeciwko wnioskowi prof. Bujwida*, mieli poważne skrupuły sumienia a więc wątpliwości co do mojej winy — istotnie nie bezpodstawne. — Sprawa bowiem przedstawiona jednostronnie, *bez rozpatrzenia dowodów* strony oskarżonej, musi zawsze skończyć się pokrzywdzeniem tej ostatniej. — Kto z tych powodów wstrzymuje się od wydania wyroku potępiającego, czyni dobrze, bo nie obciąża swego sumienia krzywdą bliźniego. — Proszę zatem wszystkich ludzi dobrej woli — łaskawie mnie wysłuchać:

Nie mając *żadnej instrukcyi* ze strony Magistratu co do prowadzenia ksiąg w zarządzie czyszczenia miasta, stworzyłem je sam i kontrolę zaprowadziłem w ten sposób, że wpisywałem do książki podręcznej (strazzy) która była również dostępną i dla pp. brandmistrzów — rozkład robót i ilość mających się użyć sił roboczych, z której to książki odpisy (raporty) posyłałem każdorazowo p. prezydentowi i delegatowi sekcyi ekonomicznej Rady miasta.

Raporty moje, a więc i robocizny uskuteczniane pod moim zarządem, były kontrolowane przez p. prezydenta a głównie i zawsze przez odnośnego delegata sekcyi ekonomicznej Rady miejskiej. Kontrolę spełniano ściśle i nigdy nie znaleziono powodu do wytknięcia mi jakiejkolwiek usterki.

Dostawca sił roboczych p. Perkowski, był jako taki zakontraktowanym przez Magistrat i jakie kwoty płacił robotnikom — to było ściśle jego rzeczą, jako przedsiębiorcy, nie mogącą być przez kogokolwiek a tem mniej przezemnie kwestyonowaną.

Za wiedzą i zezwoleniem delegata sekcyi ekonomicznej Rady miasta przeznaczałem niekiedy strażaków do robót administracyjnych w poza służbowym czasie, za wynagrodzeniem, jakie pobierali zwykli robotnicy a przeto wciągani byli do kontyngentu sił roboczych i jako tacy wykazywani.

Zarzucane mi zarachowywanie wrzekomo więcej sił roboczych, niż je *de facto* użyto — polega na mylnem interpretowaniu *notatek w książkach podręcznych*, w których czyniono zapiski tymczasowe, a które żadną miarą nie mogą stanowić dokumentu dowodowego. — Stosownie do aury i zapotrzebowania czynili tam poprawki ja lub pp. brandmistrze, co było rzeczą naturalną i wskazaną. Wykonywane roboty około czyszczenia miasta i ilość użytych robotników, były jak wyżej rzekłem przez odnośne czynniki z ramienia Prezydjum i Rady miasta zawsze *kontrolowane*.

Od stycznia do czerwca r. 1902, w czasie bezrobocia w kraju, gdy we Lwowie przyszło nawet do krwawych rozruchów — zgłaszało się wielu robotników do mnie wprost lub przez Magistrat — więc dawałem im roboty a przeto w książkach podręcznych, w których już były partye wpisywane, musiałem ja, albo pp. brandmistrze dodatkowe dopiski i poprawki z powodu nowo przybyłych robotników uskuteczniać. I tę okoliczność przedstawiono i tłumaczono jako „popełnione" przezemnie „nadużycie"! I na tych „danych" obliczono, że w r. 1902 oszukałem wrzekomo gminę na 7000 koron a przecież w tymże roku 1902 byłem przeszło *cztery* miesiące na urlopie i przez ten czas wcale nie urzędowałem.

Co do wrzekomo *„nieprawnie"* pobieranych przezemnie kaucyj od strażaków na zabezpieczenie munduru, narzędzi i wypłaty za brany przez nich węgiel! — to w tym wypadku *obowiązywał mnie* reskrypt z r. 1873, l. 27.940 wydany przez prezydenta dra Dietla i reskrypt z dnia 2. czerwca r. 1887, l. 11.049 wydany przez prezydenta dra Szlachtowskiego, a określający ściśle: konieczność pobierania kaucyj, na zabezpieczenie używanych przez straż pożarną m. Krakowa przedmiotów i rzeczy stanowiących własność gminy. Była to rękojmia, w razie odejścia ze służby strażaka, że musi oddać rzeczy w porządku, ażeby gmina nie poniosła straty. Zwrot kaucyi nastąpił *każdorazowo i natychmiast*, na przedstawienie danego p. brandmistrza, że odchodzący strażak oddał mundur i rzeczy w porządku. Drobne owe kaucye, których ogólna suma *od czasu istnienia straży* nie przenosiła *ogółem* kwoty 600 złr. — nie były nigdy naruszone, więc zarzut jakiegoś w tym kierunku „sprzeniewierzenia" — jest dla mnie wprost niezrozumiały.

„Łapówek" nigdy żadnych niebrałem i tego — jak wszystko inne — nikt mi nie jest w stanie udowodnić, natomiast ja *udowodniłem* w śledztwie dyscyplinarnem wszystko, i to, że gdy czasem ktoś ze starających się o służbę przysłał mi w kopercie lub wprost pocztą jaką kwotę — natychmiast przy świadkach takową mu zwracałem, mimo, że takiego i do służby przyjąłem — gdy był odpowiednio uzdolniony. Zawsze i wszędzie powodowałem się względami ludzkości, a nigdy chęcią nieprawych zysków. Służyłem miastu wiernie i uczciwie, surowo strzegłem mojej godności jako urzędnik i obywatel, a mimo to, padłem na stare moje lata, gdyż 70 ich liczę — ofiarą losu, który — niewiadomo dlaczego i za co — druzgoce nawet najniewinniejszych. W tem wielkiem a niezasłużonem nieszczęściu nie tracę jeszcze nadziei w *sprawiedliwość* ludzką...

Wincenty Eminowicz,

## Drobne ogłoszenia.

**W domu pod l. 6 przy ul. Brackiej** do wynajęcia sklep z pracownią zaraz, a drugi sklep z pracownią i mieszkaniem od 1. lipca 1903. 73 2—4

**W zamian za konwersacyę języka francuskiego będę uczyć na fortepianie. Nauczycielka muzyki Dolne Młyny l. 9 parter. Zgłoszenia od 10—1.** 87b 1-2

**Stajnia** na trzy lub cztery konie zaraz do **wynajęcia**. Ulica Pawia l. 10. 84 2—3

**Potrzebna jest Panna** zaraz uzdolniona w masarstwie. Wiadomość w Hotelu Saskim u portyera. 89 2-3

**Nauczyciel** języków: **polskiego, francuskiego i rosyjskiego**, b. elew prof. Ludwika Léger (collège de France) udziela nauki w domu i na mieście. Wiadomość ul. Lubicz 28/III w godz. popołudniowych. 5—6

**Drobne ogłoszenia przyjmuje Administracya „KURYERA KRAKOWSKIEGO", Karmelicka 7. po 3 grosze** (1 ½ ct.) **od wyrazu.**



Drukarnia A. Koziańskiego w Krakowie.